

# Jesteśmy wciąż tacy sami

**T.S.: Literaturę można porównać do spowiedzi, dokonywanej za siebie i za innych. To porównanie szczególnie chyba dotyczy Pańskiego pisarstwa. Pana bohater ma silne poczucie grzechu.**

T.K.: Dziwne, bo Pan strzelił w sam środek mojego samopoczucia. To są rzeczy, o których teraz myślę. Jesienią byłem w Paryżu, prowadziłem seminarium na uniwersytecie, spotykałem się z ludźmi, miałem coś w rodzaju wieczorów autorskich i tak analizując sam siebie, podając jakby siebie w syntetycznej formie słuchaczom, zrozumiałem coś, co mnie nurtowało na długo przedtem – że jestem ogarnięty obsesją winy. To właśnie, co Pan powiedział: wyczuwa się u mnie rodzaj męki grzechem.

Ja bym to sformułował w ten sposób, że należą do pokolenia, które nosi w sobie poczucie winy. Nawet na innych kontynentach spotykałem Polaków, zadomowionych

w obcym środowisku, których również trawiło poczucie jakiejś niesprecyzowanej winy wobec społeczeństwa, wobec bliźnich.

Tą winą może być wniosek wyciągnięty z życiorysu. Moje pokolenie było świadkiem upadku człowieczeństwa. Każda wojna jest okrutna, wiele było ludobójstw w historii, ale ta wojna była o tyle bardziej drastyczna, że zastała ludzkość w momencie najlepszego samopoczucia. Mówiło się: wiek pary i elektryczności. Mówiło się: emancypacja człowieka. Tymczasem w środku Europy wspaniała naród o ogromnych zasługach w sposób naukowy puścił z dymem sześć milionów ludzi i to przy użyciu całej aparatury moralnej, propagandowej, nawet artystycznej.

Ale źródła tego poczucia winy, którym mówimy, mogą być dużo głębsze. Mogą wynikać z mojego rodowodu katolickiego, z tego katolicyzmu naszego kresowego, nadzwyczaj surowego i czasami antypatycznego nawet, który nas trzymał w garści przy pomocy szantażu grzechem. Żyliśmy w jakiejś obsesji lękowej.

**Jest nacisk Kościoła, ale jest też nacisk zbiorowości. Przypomnę za Tadeuszem Lubelskim motyw „zmowy zbiorowej”, wobec której Pan się buntował w *Rojstach* i w innych wczesnych powieściach. Tu mieści się też cały ten „kompleks zdrady”, prześladowający Polaków.**

---

\* Pierwodruk: T. Sobolewski, *Jesteśmy wciąż tacy sami. Rozmowa z Tadeuszem Konwickim*, „Powściągliwość i Praca” 1986, nr 9. Publikujemy wersję rozszerzoną o fragmenty usunięte przez cenzurę – uzupełnienia (oznaczone w tekście innym krojem pisma) na podstawie dokumentu odnalezionego w zbiorach Archiwum Akt Nowych, Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, sygn. 1990, „Informacje o bieżących ingerencjach GUKPPIW. 1 VII–30 VII 1986”, informacja bieżąca nr 111, k. 67. Fragmenty wywiadu (ingerencje i skróty dokonane w pierwotnej redakcji tekstu), których nie udało się odtworzyć na podstawie tego dokumentu, oznaczone zostały wielokropkiem. Przedruk przygotowała Agata Zwołanowska.

Ja to już odłożyłem na bok jako temat spentrowany, zbanalizowany w beletryście. Wątek Kmicica powtarzał się w tylu książkach polskich, włącznie z moimi. A to po prostu wynika z warunków (...). Społeczeństwo w ciężkich sytuacjach, po to, żeby się wybronić, a przynajmniej nie ulec zagładzie, wytwarza mechanizmy szantażu moralnego.

Czasem to się przedstawia tak, jak w filmie *Zezowate szczęście*: jest dana nam z góry historia i ona ma rację. A mały człowiek – słaby, nędzny, usiłuje jej sprostać. W europejskiej kulturze ten etos wygląda zupełnie inaczej. Chaplin stał po stronie małego człowieka. U niego mały człowiek był zwycięski wobec bogatych, możnych, tworzących historię. Toteż jeżeli już zahaczamy o wojenny i powojenny okres biografii mojego pokolenia, odłóżmy na bok prymusów, arywistów i koniunkturalistów. Mówimy o tych, którzy nie zawsze chcieli, ale w końcu musieli przyjąć pewne odpowiedzialności.

**Ta wina, do której Pański bohater wciąż wraca, ma chyba też znaczenie pozytywne. Grzech popełniony w młodości może mieć wartościowsze skutki niż bierność i letniość. Grzech musi być popełniony...**

Drogi Panie, w Panu teraz odezwała się krew kresowa. Poczucie grzechu jest – chyba – sednem prawosławia. A raczej pewnych sekt prawosławnych. Grzech odgrywa tamoczesną rolę – i to nie tylko negatywną. Jest stanem, który wymaga odkupienia, dzięki niemu odkupienie jest jakby pełniejsze, prawdziwsze.

Mówiąc tyle o grzechu, weźmy pod uwagę pewne procesy osmozyjne, może nie tyle w sferze religii, ile w sferze intelektualnej oraz kulturowej, to wszystko, co przeszło do sposobu myślenia mojego pokolenia i w ogóle ludzi z kresów, którzy obcowali stale z innowiercami.

**Czy sądzi Pan że „wina pokoleniowa” dzisiaj młodych jest mniejsza, czy tylko inna?**

**Czy ma Pan obraz tego pokolenia, które doszło do głosu w 1980 roku?**

Kiedyś myślałem, że myśmy się bardzo zmienili przez lata powojenne. Wydawało mi się, że to wszystko, co określano jako polskość, czyli tak zwany romantyzm polski, lekkomyślność polska – że to wszystko uległo złagodzeniu. Że (...) poszliśmy jakby w stronę czeską.

Otóż, proszę Pana, doświadczenie ostatnich lat pokazuje, że jesteśmy wciąż tacy sami. To społeczeństwo, wśród którego ja dziś żyję, jest podobne do społeczeństwa roku 39 czy 44 albo 56. Nowe pokolenia w zdumiewający sposób przenoszą – nie tyle doświadczenia, bo nie wykorzystują jakiejś akumulacji doświadczeń, nie wyciągają wniosków – ale pewne kody zachowań. Nawyki polityczne, moralne, uczuciowe zostały właściwie te same. Młode pokolenia wchodzą wciąż w tę samą koleinę. Nie dość na tym, w którychś momencie, przyglądając się opozycji, zobaczyłem, że jest coraz więcej chłopców, którzy nawet zewnętrznie wyglądają tak jak my w latach wojny. Pewien typ twarzy, pewien typ spojrzenia, uczesania, zachowania się. Jak Pan się domyśla, dla mnie ten typ urody jest sympatyczny.

**Ale musi być różnica perspektyw – ich i Pana? W końcu jest to pokolenie końca wieku, końca epoki. Pańska generacja natomiast była przejęta ideą postępu.**

Mnie by się nawet podobało, żeby tak można odrąbać to, co było i powiedzieć, że nowe pokolenia, wyrzucone na ten atomowy brzeg, mają zupełnie inną świadomość. Tymczasem, jak mówię, we wszystkich zachowaniach młodzieży, nazwijmy to, kontekstującej, widzę – poza brodami oczywiście, którymi jesteście opatrzeni – bardzo dużo moich własnych zachowań czy moich najbliższych przyjaciół i kolegów. Tak że nie jestem w stanie, jak Pan widzi, aż tak się przysadzić i pochylić nad innością tych pokoleń.

Rzeczywiście, one są nękanie przez wiele rozpaczy współczesnych, chociażby narkomanie, której myśmy nie znali. Ale myśmy się dość skutecznie narkotyzowali tak zwaną czystą, z niebieską kartką.

Ja jestem za nowością. Ja jestem za UFO. Za niespodziankami kosmicznymi. Ja też chciałbym, żeby dzisiejsze pokolenia były zupełnie inne niż kiedyś, ale... ja się nie znam na młodzieży. Zawsze pisałem na wyrost, o starszych niż sam byłem. To wynikało może z pewnych mód.

### **Z kultu dorosłości? A mówi się, że żyjemy teraz w epoce przedłużonego dzieciństwa.**

Polaków dręczy od pewnego czasu dziecięctwo, infantylnizm, chłopcakowatość. Nie muszę tu przypominać znanych wątków literatury dwudziestolecia i współczesnej. Ale wszystko, co uważamy za niedobre cechy polskie, w końcu, na samym końcu, okazuje się cechami uniwersalnymi. Na przykład ja zawsze wyobrażałem sobie Amerykę według filmów amerykańskich, myślałem, że oni są tacy szeryfowie i supermeni. Pojechałem i zobaczyłem gigantyczne plemię małałów. Społeczeństwo wystraszone, sfrustrowane, zakompleksione, w najzupełniejszej sprzeczności z tymi dawnymi filmami, policyjnymi czy kowbojskimi, na których się wychowałem. One widać pokazywały Amerykę taką, jaką chciałyby być.

Otóż, wracając do Polski, do infantylnizmu, który wyraża się w naszych zachowaniach społecznych czy politycznych: jest cały ciąg powieści, które tym się zajmowały. I nieraz autorzy uprawiali infantylną beletrystykę, jednocześnie chcąc w sobie infantylnizm zwalczyć. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z pewnym kompleksem polskim, kompleksem krótkich spodenek, tak wyraziście i wiekopomnie opisanym w *Ferdydurke*.

Ja będę padał plackiem przed moim społeczeństwem, będę czcił i podziwiał... ale nie mogę, jako człowiek zajmujący się

literaturą, nie widzieć braku powagi, nieustannej lekkomyślności, chęciństwa, nieodpowiedzialności itp., itd., tego, co nazywamy delikatnie słomianym ogniem.

I owego dominującego, powiedzmy sobie otwarcie, matriarchatu w Polsce. W końcu kobiety stanowią o istnieniu tego społeczeństwa. Panowie gdzieś króciutko zawalczą, jakieś nieudane powstanko wykonają, idą siedzieć albo gdzieś są wywożeni, a te biedne kobiety, takie bez wcięcia w tali, takie szkatuły, umęczone, udręczone, z tymi torbami w obu rękach. One chowają dzieci, one pracują, one wożą do więzienia paczki. Ja jeszcze powiem dalej – idę na całość! – że Polacy wcale nie są takimi świetnymi żołnierzami, za jakich usiłują uchodzić. Mam co do tego sporo wątpliwości. Widziałem żołnierzy innych armii, stokroć, że tak powiem, skuteczniejszych.

### **Myślę, że teraz coraz trudniej będzie młodemu pisarzowi dorobić się własnego mitu. Panu udaje się, żyjąc w Warszawie, wycofywać jednocześnie do tej Doliny, do Kolonii Wileńskiej, która jest całym światem, gdzie wszystko się dzieje po raz pierwszy.**

Dla mnie Wilno było Nowym Jorkiem. Ja sobie nie wyobrażałem, że może być coś potężniejszego. To znaczy wiedziałem z książek, że są inne światy, ale dla mnie Wilno było największym światem. Tam każde miasteczko, każdy zaścianek miał swoją tradycję, swoją biografię, swoje narowy, dramaty, mitologie. Człowiek w tamtym mikroświecie czuł się bezpieczny.

Natomiast dzisiaj widzimy, że żyjemy w strasznym mrowisku. Wielokrotność wszystkiego zbija nas z tropu. Frustruje nas ogromna ilość ludzi. Przecież my się właściwie tak bardzo nie różnimy od siebie. Pan na pewno ludzi podobnych do mnie widział na ulicy ze sto razy. Ja takich jak Pan też widuję. Musimy się pogodzić z tym, że mamy te same odruchy, te same słowa sobie wyjmujemy z ust. Ja nie będę już pisał, proszę Pana.



fot. Marek Szczepański



Rezygnuję, oddaję walkowerem, niech inni piszą. Bo mnie zawstydza powtarzalność, wszechobecna sztanca.

Zawsze gdy coś napiszę, mam uczucie, że to już ktoś inny napisał przede mną. I czekam tylko na moment, kiedy mi dachówka spadnie na głowę. Napisałem kiedyś scenariusz, który mi się dość podobał. Przerzucam „Film” – a nigdy tego nie robię, raz do roku biorę to pismo – widzę jakiś tytuł i już wiem, że to mój scenariusz. Opis nowego filmu angielskiego. Prawie ze szczegółami treść ta sama co u mnie. Miałem ileś przypadków takich paralelności w pomysłach literackich, wykonaniach.

Przyglądam się z ogromnym zaskoczeniem skróconemu interwałowi żywota upodobań, nawyków, mód w literaturze. Dawniej wiadomo było, że jak jest jakaś moda, na przykład maniera pewnej drastyczności obyczajowej, to ona musi swój czas trwać i dopiero najświetlejsze umysły epoki przeczuwały, że przyjdzie w końcu okres miłości romantycznej, księżycowej. Natomiast teraz to leci z sezonu na sezon. Tu straszna pornografia, za chwilę miłość romantyczna, wszystkie mody jakby w tyralierze lecą do przodu, aby ukończyć skołataną nerwy odbiorcy. I wycisnąć z niego gotówkę.

**W pańskim katastrofizmie, tym z "Wniebowstąpienia", z "Kompleksu polskiego", z "Małej apokalipsy", było wyprzedzenie nastrojów, które teraz dopiero narastają i obejmują nawet dzieci. Myśli o końcu świata stały się dziś powszechne. Czy to zdrowe? Czy to normalne?**

Ja już przeżywałem kilka takich fal nastrojów pożegnań na zawsze, z życiem, ze wszystkim – czy to był spodziewany koniec świata, czy jakieś inne zagrożenie, przed którym nie można ująć. Jeśli chodzi o mój katastrofizm, trzeba by rozpatrzyć dwa wątki. Jest u mnie typ literatury, nazwijmy to, obywatelskiej: widząc pewne zagrożenia, pewne głuchoty i ślepoty mojego otoczenia, w sposób awanturniczy i maksymalnie wyrazisty usiłowałem je zasygnalizować. Tu można wymienić

"Małą apokalipsę", której nadałem formy jak najbardziej drastyczne, atakujące. Ale poza tym jest u mnie nurt literatury czystej, egzystencjalnej, dotyczącej tego, co przeżywamy wszyscy, niezależnie od szerokości geograficznej.

Oczywiście ktoś powie, że przecież bardzo dużo ludzi żyje sobie pogodnie i spokojnie, jakby nigdy nic. Jest to możliwe, ponieważ różnimy się chemią wewnętrzną, formą reagowania na te same zjawiska, odpornością. Mówię teraz o ludziach takich, jak ja. Lekko przygarbionych, zmartwionych, niezbyt cieszących się materialną czy przedmiotową stroną życia.

I jeśli piszę coś, co można określić jako literaturę katastroficzną, to mnie się wydaje, że ja spełniam pozytywną rolę. Ja usiłuję zracjonalizować, sprowadzić do intelektualnych form te wszystkie niepokoje i rozpacz, które ludzi męczą. I jeśli ktoś to czyta i widzi, że inny człowiek podobnie się szamocze, to dla niego znaczy, że nie jest najgorzej, bo nie jest sam. Że jesteśmy razem. Czy w tak zwanym świeckim życiu wiele więcej możemy zaproponować bliźniemu?

**Teraz, po okresie, który nam przyniósł i zagrożenia, i jakieś utraty, Pańskie wcześniejsze książki mają szansę być inaczej odbierane. Płynię z tego nawet jakieś pocieszenie. Bo Pan pokazuje, że człowiek jest bardzo pojemny. W życiu można dużo znieść, dużo utracić, ale z tego będzie może jakiś zysk duchowy.**

Miałem takie głosy od czytelników, którzy byli zrażeni moim katastrofizmem, a teraz widzą w nim już nie tylko „straszenie”, ale sprawy głębiej ukryte. Ja z natury mam – tak mi się zdaje – ogromny instynkt społeczny. Jestem życzliwy swoim bliźnim i współczesnym. Chciałbym – wielokrotnie, może czasem nawet niefortunnie, dawałem tego dowody – pomagać im w trudzie brnięcia przez tę naszą egzystencję. I mnie się wydaje, że ja cały czas nadaję sygnały wspólnoty, takie optymistyczne S.O.S., ileś kropek i kre-



**Filomaci w filmie**  
***Lawa. Opowieść***  
***o „Dziadach”***  
**Adama Mickiewicza (1989)**  
**Zespół Filmowy**  
**„Perspektywa”**

kadr z filmu

sek: nie jesteś sam, jesteśmy razem w tym, w czym żyjemy i w tym, co nas czeka.

**W Pańskim piśarstwie jest pewien paradoks. Być może jest to w ogóle paradoks prawdziwej literatury. Pan się zwraca zawsze w stronę własnej biografii, ale ona staje się życiorysem Kałdego. Pański mit literacki jest doświadczeniem powszechnym. Zwracała na to uwagę Maria Janion, mówiąc, że to jest romantyzm sprowadzony do poziomu współczesnego everymana, przez niego przeżyty i dla niego przeznaczony.**

Ten romantyzm tłukł się stale w tej strefie geograficznej, gdzie ja żyłem. I ja go bezwiednie wykorzystałem. Może na oślep, może szukając jakiegoś wsparcia dla siebie. Oczywiście, wiele zdemonizowałem i zmistyfikowałem. Killkadzieci lat życia poświęciłem na wecowanie tego utraconego raj. W tej chwili to już się stało pewnym kostiumem literackim.

To chyba coś znaczy, że w nekrologach podkreśla się dziś, że zmarły był absolwentem Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Dwadzieścia lat temu nikomu by do głowy nie przyszło tak napisać. Bardzo rozdęliśmy ten model kultury kresowej. Między innymi i ja miałem w tym udział. Jak mi się wydaje, jest to ogólnoeuropejskie zjawisko. Nawet Niemcy, którzy nigdy ze swego pogranicza niemiecko-słowiańskiego nie korzystali, teraz mają całą plejadę pisarzy, którzy żyją z kresów. Grass, Bienek, ale nie tylko oni. Płodne są wszelkie pogranicza. Płodne są raje utracone.

**To przecież nie tylko sprawa tej Litwy, „kraju lat dziecinnych”, co jest „jak pierwsze kochanie”. Tu się tworzy model jakiejś rzeczywistości innej. To jest wyraz naszej tęsknoty do życia pełnego, poza granicami epoki, państwa, własnego i zbiorowego losu.**

Ja Panu powiem, jest w świecie naturalny pęd do elitarności. Powstają grupy alpiniistów, pletwonurków, żeglarzy, działkowiczów. Jest chęć uczynienia ze swego życia jakiegoś niepowtarzalnego faktu. „Korzenie”

amerykańskie miały w gruncie rzeczy ten sam początek. Mieszczuch amerykański, który się czegoś dorobił, chciał dla siebie znaleźć powabny rodowód. Ja, jako uczeń Gimnazjum Zygmunta Augusta, strasznie się wstydzilem, że urodziłem się pod Wilnem. To było takie pospolite, byle jakie. Potem dopiero zorientowałem się, że to jednak intrygujące. I dla artysty pomocne.

Nawet Wajdzie, który się nie urodził w Wilnie, tylko w Suwałkach, przydał się rodowód kawalerski. Ta kawalerskość coś mu dała. To jest ten jakiś dziwny gorset, który decyduje o kondycji wewnętrznej. Kutzowi, nie chwając się, zasugerowałem kiedyś Śląsk (byłem wtedy kierownikiem literackim zespołu „Kadr”): co masz błąkać się po tym światku inteligentkim, rusz sprawy swoje, swojego domu, pochodzenia.

Ja na to kiedyś wpadłem, chyba sam, przełamując kompleks repatriancki. Przy tym bardzo uważałem, żeby nie stać się takim Wiechem wileńskim. Tak jak potem uciekałem od kombatantkich wątków. Po *Senniku współczesnym* spostrzegłem, że uważają mnie za literata tematu wojennego i postanowiłem nie dać się zamknąć. Śladem tej walki jest *Wniebowstąpienie*, gdzie z wyrachowania założyłem, że bohater stracił pamięć – po to, żeby nie miał biografii kombatantkiej swojego pokolenia. Chciałem sobie technicznie odciąć tę możliwość.

**W Kronice wypadków miłosnych ta redukcja jeszcze inaczej wygląda. Pan odcina przyszłość. Wiosna 1939 roku pod Wilnem, opisana z hiperrealistyczną dokładnością, wydzielona z czasu. Jakby to wszystko się znajdowało w jakimś innym kanale czasowym. Można do tego wrócić, to gdzieś trwa, bez przyszłości.**

Mnie tam ciągnie, choć nie jestem pewien stopnia realności tych światów. Uczni amerykańscy zapewniają nas, że jest jedenaście wymiarów. Znamy je tylko z naszych przeżyć. Ja instynktownie, w wyobraźni prowadzę gry z czasem. Nie mówię: zabawy

– bo to nie jest zabawa – ale właśnie gra. Pojedynek nawet. To jest dla mnie już teraz konieczne, potrzebuję tego jak narkotyku. Koło "Rzeki podziemnej" chodziłam dwa lata. Nie mogła się uformować, ciągle pozostawała w sferze reportażowej, nie wciągającej. Bo nie wystarczała mi współczesność. I dopiero kiedy na czas stanu wojennego nałożył mi się czas minionej wojny, powieść ruszyła z miejsca.

**W kinie światowym, ale także i u nas, jest teraz pęd ku rozwiązaniom fantastycznym, baśniowym, nawet w filmach nie należących do gatunku fantastycznego. Coraz częściej stosuje się przenikanie czasów, wędrówki w czasie, nawet obecność zmarłych – i to bez specjalnego namaszczenia. Tak jakby masowo potwierdzały się Pańskie dawniejsze poszukiwania. Myślę nawet o filmach popularnych, jak *Powrót do przyszłości*.**

To jest dziś na pewno uniwersalny kierunek, baśń. Spielberg wprowadził ją na nowo do kina i nauczył na nią patrzeć. I ten Zemekis, o którym Pan wspomniał. Poszła fala baśni, ale takiej, powiedziałbym, przeczyszczająco-łagodzącej. U nas ta baśń będzie trochę inna, kolczasta, gorzka, tragiczna, ze względu na okoliczności towarzyszące. I ewentualna wycieczka w czasie nie będzie u nas miała charakteru czysto rozrywkowego, ona nabierze podwójnego znaczenia.

Społeczeństwo jest troszkę zmęczone polityką. Ludzie nie mogą dziesiątkami lat żyć w takich napięciach. Ja sam odczuwam również zmęczenie politycznością. Pociąga mnie ten rodzaj literatury, który eksploatuje radość obcowania z rzeczami, sprawami, ludźmi czasu minionego. Myślę tu między innymi o Doctorowie, o Kuśniewiczu, którego właśnie teraz czytam. Wyobrażam sobie, że dla nas chęć przekroczenia granicy codzienności, wejścia w sferę jakby realistycznej bajki, jest rodzajem pędu czysto fizjologicznego. Organizm chce odpocząć, złapać trochę tlenu.

### **Taki sposób na rzeczywistość?**

I na własne samopoczucie, własny stan zdrowotny. Ja zresztą też, mimo że chciałbym uniknąć uczestnictwa w zjawiskach stadnych, napisałem teraz baśń. Właściwie romans dworkowy. Rzecz dzieje się w 1875 roku i choć są tam asocjacje do ówczesnych okoliczności politycznych i do współczesnego życia, dla mnie było to przede wszystkim zanurzenie się w świat dzieciństwa. Co prawda, nie jestem aż tak stary, ale tamte czasy trwały do lat trzydziestych naszego wieku, w sensie cywilizacyjnym i obyczajowym. Też się jechało furmanką piętnaście kilometrów do kolei, też były lampy naftowe, kurne chaty, łapcie. Dziewiętnasty wiek w pełni, w rekwizytach, nastrojach, w usposobieniu psychicznym i intelektualnym. Na Wileńszczyźnie były okolice, gdzie nie wiadano nic o pierwszej wojnie światowej. Ten świat żył swoim własnym życiem. I to przetrwało, choć nie w pełni, aż do moich czasów. To są realia, wśród których ja się poruszam lepiej może niż wśród warszawskich. Więc zafundowałem sobie taką wycieczkę. Romans swojej babki opisałem, oczywiście, wyimaginowany, ale może i nie wyimaginowany. I sprawiło mi satysfakcję, że się poruszam w świecie banału totalnego, bo tych romansów dworkowych było w Polsce swego czasu na tony i filmy nawet były robione. Ja to jeszcze raz, świadomie, powtórzyłem – po prostu dla przyjemności obcowania z banalnym banałem.

Warszawa, 12 maja 1986 r.

**Tadeusz Sobolewski** – krytyk filmowy, esaista. Pracuje w „GazecieWyborczej”. Autor książek: *Stare grzechy* (1988), *Dziecko Peerelu* (2000), *Malowanie na Targowej* (2003), *Za duży blask. O kinie współczesnym* (2004).